EPOKA

TYGODNIK

ROK I — Warszawa, 20 listopada 1932 R. — NR. 8

Sprawa narodowościowa

Dyktatura wojskowa czy „kąpiel stalowa"?

Nietylko Żyrardów

Mniej pracować, żeby pracowali wszyscy

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Listy do „Epoki".

AUTORZY: WASILEWSKI, MUSZAŁÓWNA, WAJNRYB, WIDZ, BURDECKI, DĄBROWSKA, ROGOWICZ

Opłata pocztowa opłacona ryczałtem. Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

DUCH CZASU

Duch czasu wszędzie tam, gdzie niema sztucznego klosza wewnętrznnych stosunków politycznych, krystalizuje się coraz jaśniej i wyraźniej. Dojrzeć go można najłatwiej tam, gdzie wolność idei i słowa chroniona jest przez... tradycję i przyzwyczajenia. A więc we Francji.

Świeżo ukazało się w Paryżu czasopismo młodych p. t. „L'Esprit". W n-rze 1 ogłoszono manifest, którego pierwsze zdanie brzmi:

„Źródłem naszego związku jest wspólna niemożność życia. Ale nasze wysiłki wykraczają poza to, co nas zbudziło; dążą one do pogłębienia wszystkich wartości w życiu duchowem i w państwie. Pierwszy obwód naszego porozumienia otaczają następujące zasady: wolność, godność ludzka i miłość"...

A dalej w manifeście twórców „L'Esprit" czytamy:

„Trzeba się zwolnić od kapitalizmu — twórcy anarchji, rozrzutności i niesprawiedliwości. Pretenduje on do obrony w imię własności prywatnej, a przecież ją przeinaczył i skonfiskował".

I jeszcze jedna cytata:

„Wszelka sztuczna forma polityczna winna szczeznąć, szczególniej, jeżeli mistyka sztucznie wyegzaltowana ukrywa w sobie pustkę. Nie możemy dopuścić istnienia nacjonalizmu, w którym ta mistyka stwarza niebezpieczne chimery o misji zdobywczej danego narodu"...

PATRYK PETERSON, DR. FIL

Przed kilkoma dniami w gmachu uniwersyteckim w Upsala odbyło się uroczyste wręczenie dyplomu doktora filozofji, osiemdziesięcioletniemu wieśniakowi, Patrykowi Petersonowi, — ubogiemu mieszkańcowi parafji Vallda w prowincji Halland (Szwecja zachodnia). Sędziwy ten chłop, w chwilach wolnych od zajęć gospodarskich, ułożył wzorową, naukowo bezcenną gramatykę swego rodzimego djalektu, zaopatrzoną w słownik, zawierający 36.000 wyrazów, oraz w parotomowy zbiór legend, śpiewów, obrzędów ludowych i zwyczajów, charakterystycznych dla jego ojczystych okolic. Zaznaczyć należy, iż Patryk Peterson poza szkółką wiejską żadnego innego zakładu naukowego nie oglądał i że przez całe życie ciężko borykał się z losem, będąc właścicielem maleńkiego, nieurodzajnego zagona ziemi. Te właśnie, nieliczne godziny dnia, stanowące dla innych wieśniaków zasłużony wypoczynek po ciężkiej pracy, Patryk Peterson przeznaczał na dalekie wędrówki po okolicy i na pisanie swej ukochanej gramatyki, której poświęcił kilkadziesiąt lat swego życia, a którą ostatecznie wykończył w roku bieżącym.

Szwecja, ojczyzna dr. Patryka Petersona, mogłaby doskonale posłać go jako zawodnika na Międzynarodową Olimpjadę Tężyzny Życiowej i Ofiarnej Służby Ideałom... gdyby istniała taka Olimpjada...

SPRAWA OLSZAŃSKIEGO W APELACJI

W sądzie apelacyjnym w Donai odbyła się rewizja sprawy Tomasza Olszańskiego, byłego legjonisty-hallerczyka, a obecnie emigranta, sekretarza Związku Górników, **oskarżonego** o szerzenie haseł syndykalizmu śród górników-Polaków, którzy w liczbie 80.000 pracują w kopalniach francuskich.

Mimo, iż na mocy francuskiego prawa, szerzenie haseł syndykalizmu jest we Francji w zupełności dozwolone, sądy francuskie przychylając się do prośby prokuratora, pozbawiły Tomasza Olszańskiego obywatelstwa francuskiego, które był on przed paru laty uzyskał, a ostatnio sąd apelacyjny w Douai wyrok ten zatwierdził w całej rozciągłości.

Sprawa Olszańskiego, jego „wina", polegająca na propagowaniu haseł sprzecznych z interesami Związku Właścicieli Kopalń, oraz oryginalny wymiar sprawiedliwości (w motywach wyroku czytamy: — ponieważ naturalizowany Francuz nie jest zupełnym Francuzem), poruszyły opinję „zupełnie" francuską, czego najlepszym dowodem są podpisy, jakie widzimy na proteście, wręczonym ostatnio rządowi francuskiemu, podpisy Romain Rolland'a, André Gide'a, G. Duhamel'a, Charles Vildrac'a, i t. d.

TYM, CO APOTEOZUJĄ PRZESZŁOŚĆ...

Odnaleziono ostatnio dokument, datowany z dn. 1 stycznia 1682 roku, a będacy rachunkiem za należność, jaką książę Elektor Koloński wypłacił swemu nadwornemu rakarzowi. Oto poszczególne punkty rachunku z przed 250 lat: —

1) za rozdarcie czterema końmi	8	talarów
2) za ścięcie i spalenie	8	„
3) za uduszenie i spalenie	6	„
4) za koło oprawcze	8	„
5) tylko ścięcie	4	„
6) ścięcie dłoni i głowy	5	„
7) 10 palców i głowa	5	„
8) szarpanie kleszczami rozpalonemi do białości	0,26	„
9) zakopanie żywcem, zupełne	6	„
10) pręgierz	3	„
11) skręcanie palców i torturowe dyby przez kwadrans	1	„

ROZWODY MIĘDZYNARODOWE

Kongres Stowarzyszenia Prawa Międzynarodowego, odbyty w Oxfordzie, uchwalił jednogłośnie rezolucję, wzywającą poszczególne Państwa do zawarcia wzajemnego układu, na mocy którego sprawa rozwodowa przeprowadzona w sądach jednego kraju miałaby moc prawnie obowiązującą we wszystkich innych krajach należących do konwencji.

Uchwała Stowarzyszenia Prawa Międzynarodowego posiada szczególne znaczenie dla Polski, gdyż może wpłynąć na przyspieszenie roztrzygnięcia palącej sprawy naszej ustawy małżeńskiej. Mimo wysokich opłat za paszporty zagraniczne, niewątpliwie bardziej korzystne będzie dla Państwa przeprowadzanie spraw rozwodowych jego obywateli w kraju, niż zmuszanie ich do wyjazdu zagranicę i opłacania polskiemi pieniędzmi obcych urzędników.

STUDJA ZAGRANICZNE

Rok rocznie udaje się z Polski ok. 8 tysięcy osób zagranicę, nie znajdując miejsca w uczelniach krajowych. Nie są to paro lub kilkotygodniowe wyjazdy profesorów, lekarzy i t. d. na studja, na zjazdy lub w celu dokonania badań naukowych, lecz wyjazdy młodzieży dla studjów uniwersyteckich, a na-

wet dla nauki w szkołach średnich. Trzeba przypuścić, że tak znaczna ilość młodzieży udaje się zagranicę przeważnie bądź dla braku miejscu w zakładach krajowych, bądź skutkiem niemożności studjowania w kraju wobec rozmaitych przeszkód, jak naprz. nieposiadania matury. Jak wiadomo w całym szeregu zakładów wyższych zagranicą brak tego dokumentu nie stanowi przeszkody do wyższych studjów.

Należy zwrócić uwagę, że 8 tys. osób przy całorocznym pobycie zagranicą wydaje rocznie przynajmniej 20 — 25 milj. zł., przypuszczając, że roczny pobyt wraz z opłatą za samą naukę wynosi przynajmniej 2,5 — 3 tys. zł. rocznie. Gdyby zatem w ciągu 2 — 3 lub 4 lat wydawać tę sumę na rozszerzenie istniejących zakładów lub na stworzenie nowych, to niewątpliwie zatrzymalibyśmy w kraju sumę powyższą, co bynajmniej obojętne nie jest.

Kształcąca się zagranicą młodzież nasza, chcąc osiąść w kraju i wyzyskać nabytą wiedzę — zmuszona będzie starać się o t. zw. nostryfikację.

Absolwenta zagranicznego, chociaż posiadającego dyplom, oprócz nostryfikacji, czeka jeszcze konieczność otrzymania matury, nie można bowiem wymagać dla tej kategorji dyplomów zagranicznych przyznania przywilejów w porównaniu z dyplomami krajowemi, poprzedzonemi maturą.

Pozatem młodzież naszą, studjującą zagranicą i mającą nadzieję na zatrudnienie w obcych krajach, zwłaszcza w Europie, należy przestrzec, że to bynajmniej łatwe nie jest. O wyższych stanowiskach, zwłaszcza w przemyśle lub handlu, zajętych przez obywateli polskich jakoś nie słychać. Znane są natomiast wypadki, kiedy pod presją władz administracyjnych zwalniano cudzoziemców nawet z niższych posad, aby zatrudnić krajowców. Gdy cudzoziemiec uczy się i za naukę płaci, a więc przywozi pieniądze, — jest mile widziany, o ile jednak zaczyna jako pracownik współzawodniczyć z inteligencją miejscową, — staje się niepożądanym, a nawet uciążliwym cudzoziemcem.

W TRYBIE DORAŹNYM

W r. 1928—30 tylko w paru okręgach sądowych istniały sądy doraźne (w Rzeszowie, w Brzeżanach, Stanisławowie i Stryju). W r. 1928 sądzono w trybie doraźnym 6 osób, w r. 1929-ym — 2, w r. 1930-ym — ani jednej. W początku września r. ub. wprowadzono sądy doraźne na całym obszarze państwa, a w ciągu tych czterech miesięcy r. ub. osądzono 66 osób, w tem skazano na karę śmierci 39, na więzienie — 13, uniewinniono 1 i skierowano na drogę postępowania zwykłego 13 spraw. Z liczby skazanych na karę śmierci trzecią część, t. j. 13 osób, ułaskawiono.

SPRAWA NARODOWOŚCIOWA

Kwestja narodowościowa w ciągu stu ostatnich lat wysunęła się niemal na czoło zagadnień politycznych, stanowiąc jeden z najaktualniejszych problemów polityki praktycznej rządów, społeczeństw i stronnictw politycznych. Polityka ta z natury rzeczy musi się oprzeć na pewnych przesłankach teoretycznych, a więc szukać swych uzasadnień w badaniach naukowych i w wysuwanych z tych ostatnich wnioskach. Tą drogą tworzy się nowy dział socjologji, wciągający w swój zakres cały szereg nauk pomocniczych. Antropologja, etnografja i językoznastwo, etnografja i statystyka demograficzna, historja polityczna i historja kultury, prawo, ekonomja i psychologja — każda z tych nauk daje obfity materjał dla wzniesienia gmachu socjologji narodowości — gmachu, który dotychczas znajduje się w fazie budowy, ale ostatecznych, zakończonych kształtów jeszcze nie przybrał.

Jak każdy z działów nauki, ściśle związanych z życiem bieżącem i z interesami żywotnemi miljonów ludzi, wielkich grup społecznych i licznych organizacyj państwowych, kwestja narodowościowa daje bardzo szerokie pole poglądom i tendencjom subjektywnym i stronnym, co niezmiernie utrudnia wyłuskanie z chaosu sprzecznych koncepcyj tych prawd zasadniczych, naukowo objektywnych, któreby się dały zastosować wobec zjawisk narodowościowych, niezależnie od ich wartości subjektywnej dla tej czy innej grupy narodowej.

Socjologowie narodowości muszą to uczynić tak w interesie samej nauki, jak i dla celów polityki praktycznej, opierającej skuteczność swych wysiłków na trwałych podstawach naukowych. Musi to uczynić pomimo wielkich trudności, jakie spotyka na swej drodze.

Olbrzymia literatura, poświęcona w ostatnich latach kwestji narodowościowej, dała już możność oprzeć pewne wnioski na owocach gruntownych badań tego przedmiotu. We wnioskach tych jest jeszcze dużo spornego i nieprzetrawionego ostatecznie, dużo tendencyjnego i nadającego się do gruntownej krytyki. Nie mniej jednakże pod pewnemi względami stoimy tu już na mocnym gruncie i możemy pewne rzeczy stwierdzać w sposób kategoryczny.

W krótkim moim artykule nie mogę oczywiście zajmować się całokształtem kwestji narodowościowej, ani w jej historycznym przebiegu, ani we wszystkich objawach współczesnych. Chcę tylko dać pogląd na parę zagadnień podstawowych, dotyczących ściśle kwestji narodowości w dobie dzisiejszej i jej zasadniczych tendencyj rozwojowych.

Okres historji nowożytnej w dobie po Wielkiej Rewolucji Francuskiej zastał szereg narodów skrystalizowanych w formie państw. Stąd dotychczas jeszcze panujące na Zachodzie utożsamianie narodu z państwem, narodowości z przynależnością państwową, tak rażące nas, ludzi środkowej, a zwłaszcza wschodniej Europy. Narody państwowe na progu nowej epoki, którą należałoby nazwać epoką rozwijającej się demokracji, przedstawiały się w formie następującej: na górze, na czele państw warstwa pa-

nująca, wykształcona, zwykle nieliczna, ale silną swą władzą i kulturą i właściwie reprezentująca naród jako taki, stanowiąca właściwą narodowość państwową. Na dole, na nizinach społecznych — miljonowe masy, etnograficznie i językowo często bardzo zróżniczkowane, stanowiące niejako materjał surowy. Jednostki, wychodzące z tych mas i dźwigające się na wyższy szczebel społeczny i kulturalny, asymilowały się narodowościowo z narodem państwowym i tą drogą go wzmocniły. Takim typowym narodem był przez czas długi naród polski i to nietylko w dobie swego istnienia państwowego, ale i znacznie później.

Właściwy naród w Polsce stanowiła warstwa uprzywilejowana — szlachta. Była ona pochodzenia polskiego, litewskiego, ukraińskiego, ormiańskiego, niemieckiego, tatarskiego. Szlachta ta, dzięki uzyskanym historycznie przywilejom społecznym i wysokiej kulturze o charakterze jednolitym, łacińsko - polskim, panowała nad miljonowemi masami, tak polskiemi, jak białoruskiemi, ukraińskiemi, litewskiemi, łotewskiemi i t. p., które były społecznie upośledzone, kulturalnie zacofane, pozbawione własnej pozytywnej świadomości narodowej. Analogicznie przedstawiała się i w znacznej mierze jeszcze dziś przedstawia się naród francuski. We Francji państwo reprezentowała nieliczna warstwa uprzywilejowanych i wykształconych Francuzów północnych, panujących politycznie i kulturalnie nad olbrzymiemi masami ludności, tak mówiącej djalektami języka francuskiego, jak i posługująca się w życiu codzienne językami: prowansalskim, katalońskim, włoskim, bretońskim, flamandzkim, niemieckim i baskijskim. I wszystko, co przenikało z tej masy do warstwy panującej, stawało się Francuzami — nietylko politycznie, ale i kulturalnie i językowo. Mniej więcej tak samo przedstawiały się stosunki na progu okresu rozwijającej się demokracji w całej Europie — od Angli do Turcji.

Stan taki był wynikiem całego poprzedniego okresu historycznego — okresu tworzenia się owych państw i narodów państwowych. Ta upośledzona masa etnograficzna — to szczepy, plemiona, które nie zdołały wytworzyć własnych państw, albo narody, które wskutek nieszczęśliwych okoliczności swe własne państwa utraciły. Albowiem brak własnej organizacji w formie państwa pociąga za sobą obumieranie organów, spełniających funkcje państwowe, a więc i zanik wszystkich czynników społecznych, do tego przeznaczonych, t. j. warstw kierowniczych i oświeconych, będących rozsadnikiem tradycyj historycznych i kulturalnych, własnej kultury i świadomości narodowej przedewszystkiem.

Tą drogą zeszli na stopień surowej masy etnograficznej Prowansalczycy i Flamandowie we Francji, Katalończycy w Hiszpanji, Szkoci i Irlandczycy w Anglji, narody słowiańskie, podbite przez Niemców, Węgrów i Turków, Litwini, Białorusini i Ukraińcy w Polsce i w Rosji t. p.

Ale oto po Wielkiej Rewolucji Francuskiej nadchodzi nowa doba — doba rozwijającej się demokracji. Topnieją przywileje społeczne warstwy panującej, oświata przenika do mas upośledzonych i dla ułatwienia sobie tej penetracji musi przybierać formy, dla tych mas dostępne — przedewszystkiem pod względem językowym. Tą drogą zaniedbane języki tych mas poczynają nabierać wartości kulturalnej. Na tem podłożu zaczynają się wyodrębniać z warstwy panującej nieliczne narazie grupki ludzi o kulturze panującej, ale pochodzące z tych mas i pragnące dla tych mas pracować. Grupka ta, najczęściej współżyjąca z masami (nauczyciele, duchowni i t. p.) wytwarza stopniowo kulturę w językach zaniedbanych, niepaństwowych (kalendarze, pisemka ludowe, elementarze i t. p.) i tą drogą powstaje proces t. zw. „odrodzenia narodowości niepaństwowych". Proces ten przybiera formy identyczne na całym obszarze, zamieszkanym przez te masy i odbywa się tak samo w Finlandji czy w Galicji Wschodniej, na Śląsku polskim czy na Słowaczyźnie, u Serbów, u Ukraińców, u Estów, Łotyszów, Katalończyków czy — w najnowszych czasach — u licznych t. zw. „inowierców" niezmiernych przestrzeni Rosji Europejskiej i Azjatyckiej. I tylko warunki polityczne uzależniają tempo tego odrodzenia od siebie. Warunki te mogą odrodzenie opóźnić, mogą je zahamować na długo (jak to było w carskiej Rosji), ale nie mogą go już w żaden sposób zniszczyć. Takich przykładów historja nowożytna w okresie, o którym mowa, nie zna. Jest to proces żywiołowy, wobec którego bezsilne są wszelkie sztuczne zabiegi, nawet najsilniejszych organizacyj państwowych, jak to pokazuje chociażby praktyka Niemiec, Rosji, Węgier czy Turcji. Fakt ten został ustalony ponad wszelka wątpliwość — i ustalenie to jest jedną z pozytywnych zdobyczy socjologji narodowości.

Dalszem zadaniem tego działu nauki jest ustalenie tendencyj rozwojowych tych odradzających się i odrodzonych już narodowości. Nie ulega żadnej wątpliwości, że naród, który przyszedł do pełni świadomości i wytworzył odpowiednie siły społeczne i kulturalne, nie zatrzyma się wpół drogi. Będzie on dążył do takiego stanu, któryby mu zagwarantował pełnię wszechstronnego rozwoju i równouprawnienie wobec innych narodów — t. j. do stworzenia własnego państwa. Oczywiście, na tej drodze piętrzą się olbrzymie trudności najrozmaitszego charakteru, pochodzące z liczebności danego narodu, jego położenia geograficznego, możliwości ekonomicznych, zdolności indywidualnych i t. d., przedewszystkiem zaś z tego, co nazwać możemy ogólnie „konjunkturą". Niemniej jednakże istnienie tendencyj objektywnych do tworzenia własnych państw, do realizacji tej idei, którą Wyspiański sformułował w powiedzeniu: „Naród ma prawo istnieć tylko jako państwo" jest już nietylko teorją. W ostatnich dziesiecioleciach mamy do czynienia z całym szeregiem faktów realizacji tej idei, a utworzenie się państw takich, jak Estonja czy Łotwa, wskazuje na powszechność tej tendencji.

Być może następną fazą rozwoju ruchów narodowościowych będzie zespalanie się suwerennych państw narodowych w związki, tak zorganizowane, aby żadna ze zdobyczy, już uzyskanych przez daną narodowość, nie była na szwank narażona. Prawdopodobnie faza ta nastąpi pod wpływem konieczności ekonomicznych, zniewalających już dzisiaj do regulowania znacznej części zagadnień gospodarczych w drodze międzynarodowej — konieczności wyrażających bezsilność w dziedzinie leczenia bolaczek ekonomiczno - społecznych, posiadających charakter międzynarodowy, przez oddzielne państwa na własną rękę. Nie jest to wykluczone. Wątpliwości natomiast nie ulega, że, zanim narody wkroczą w tę

fazę rozwoju, muszą one przebyć w całej pełni poprzednią — tę, która trwa od stu kilkudziesięciu lat i która dała w rezultacie suwerenność państwową nie tylko wielkim narodom, t. zw. historycznym, ale nawet drobnym indywidualnościom narodowym. Faza ta dotychczas nie jest zamknięta ostatecznie i dużo jeszcze brakuje, zwłaszcza na Wschodzie Europy do jej pełnej realizacji. Jednakże objektywne warunki życia współczesnego coraz bardziej wskazują na nieuchronność dalszej ewolucji w tym kierunku, a coraz żywsze tempo, w jakiem się ta ewolucja rozwija w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, świadczy, że znajdujemy się obecnie już być może niedaleko kresu tej fazy, która będzie ostatecznie zamknięta dopiero wówczas, kiedy niepodległość państwowa wszystkich narodów świata cywilizowanego stanie się faktem realnym.

Leon Wasilewski

CHCEMY MNIEJ PRACOWAĆ— ŻEBY PRACOWALI WSZYSCY

Słowo „kryzys" nadużyła rzeczywistość. W pierwszych latach jego panowania niemal witaliśmy się zmartwionem słowem — „kryzys". Dzienniki karmiły nas jego analizą, wyszukując co przedniejsze nazwiska ekonomistów, którym zawsze brakowało tylko jeszcze jednej przyczyny, aby w końcu wyświetlić ostatecznie, jak powstał „on", a którzy podawali sto sposobów, jak zlikwidować „go". Z temi stoma sposobami rzecz się miała, jak z tomem bajek arabskich „tysiąc nocy i jedna". Mogłoby ich być tysiąc razy więcej i jeszcze temat bajki nie byłby wyczerpany.

Mijają miesiąca i lata, pogłębia się kryzys, zwiększają się szeregi bezrobotnych, cierpi... kapitał. Rośnie nędza i rośnie... spokój. Temat kryzysu zestarzał się. Mówimy o nim coraz rzadziej. Patrzymy na jego skutki coraz spokojniej. W całym świecie ogłoszono wielki pobór cierpliwości, otrąbiono krucjatę wytrwania. „Gniew ludu" przycicha. Bezrobotni to żaden element rewolucyjny — orzekli panowie z tronu kapitału i leaderzy wojującego komunizmu.

Świat wszedł w tragiczną fazę bezradności. Bezradności, która jest rezygnacją. Rezygnacją, która jest już rozgrzeszeniem z wysiłków i spokojem sztucznym, karmionym pociechą — tymczasowości potwornego zła.

Mieliśmy bez liku międzynarodowych konferencyj ekonomicznych, przemysłowych, rolniczych. Czytaliśmy wspaniałe artykuły, szlachetne protesty, wielkie krzyki rozpaczy. Zdawało się, że rosnące miljony bezrobotnych zgotują światu jutro — pojutrze katastrofę. Zdawało się, że my sami — obdarowani łaską pracy zarobkowej — nie będziemy w stanie żyć, w tej atmosferze zgęszczonej nędzy, depresji moralnej, wielkiego głodu.

Dziś — konferencje międzynarodowe w sprawach kryzysu przestały być atrakcyjne, dzienniki znakomicie przycichły, życie prywatne wróciło do normy, wprawdzie zredukowanej, ale zawsze — normy. W skurczonych budżetach pracowniczych i robotniczych — ustabilizował się nowy standart życia. Dziesiątki miljonów bezrobotnych, wspartych o zerowy budżet utrzymania, wykazują nieprawdopodobną wolę życia, cierpliwość, spokói i — oczekiwanie.

Tak. Wszyscy, jednozgodnie, kapitał wraz z bezrobotnymi, oczekują na koniec kryzysu. Kryzys musi się skończyć. Jednego drgnienia giełdy na Wall Street w New Yorku oczekuje równie czujnie i niespokojnie — bezrobotny, jak miljoner. Drgnienie giełdy, oczekiwana haussa, to będzie nowy początek nowej prosperity.

Jeszcze czasem, w rozmowach, w rozmyślaniach, kołacze się piekielny pomysł: co robią bezrobotni? Z czego żyją? Jakim cudem — jeszcze żyją?

***

Zbliża się okres najgorszy dla tych, którzy są członkami najliczniejszego dziś stowarzyszenia międzynarodowego, dla bezrobotnych. Idzie zima. Przychodzą wzmożone potrzeby, rujnujące cierpliwość głodu, bezdomności i łatanych dziur. Okres, który zawsze stanowi niebezpieczną próbę cierpliwości i wytrwania, choćby nawet superolimpijskiego.

Sprawa bezrobotnych nabiera tonów palących ponownie. Teren międzynarodowy drgnął. Drgnął — mojem zdaniem — na ton odpowiedni, dający perspektywy pozytywne, o ile... o ile zdoła wstąpić na trudną drogę realizacji. —

Rada Administracyjna Międzynarodowego Biura pracy uchwaliła zwołać w styczniu 1933 roku — konferencję przygotowawczą rządów, przedstawicieli pracodawców i robotników, dla omówienia sprawy *dalszego skrócenia czasu pracy.* Rada Międzynarodowego biura pracy uznała jednomyślnie sprawę tę za postulat społecznie i ekonomicznie — konieczny.

Z tem nowem posunięciem jednomyślnie idzie fakt, jaki zaistniał przed kilkoma dniami na terenie Ameryki. Jedno z wielkich przedsiębiorstw amerykańskich, dysponujące piętnastoma tysiącami pracowników umysłowych, wprowadziło w życie *pięciodniowy tydzień,* a więc — zarządziło na własną rękę skrócenie czasu pracy.

Skrócenie czasu pracy zarobkowej stanowi niewątpliwie znaczny krok naprzód w przełamaniu kryzysu, a normalnym okresie życia ekonomicznego — przyczyni się do podniesienia dobrobytu szerokich mas, i do wzmożenia konsumcji. Postulat ten nie rozwiązuje, zapewne, wszystkich trudności kryzysu i nie zapewni jeszcze systemowi kapitalistycznemu planowości, ale jest poważnym krokiem naprzód w uzdrowieniu stosunków obecnie panujących.

Naturalnie, skrócenie czasu pracy nie może pociągać za sobą obniżenia płac. Zadaniem tego postulatu jest — przez skrócenie czasu pracy zwiększyć liczbę zatrudnionych pracowników i robotników, a przez to podnieść cyfrę konsumentów i tą drogą dążyć do likwidacji nagromadzonych zapasów, do usunięcia zjawiska nadprodukcji. Obniżenie płac decydowałoby o zmniejszeniu zdolności konsumcyjnej, co miałoby skutek wręcz przeciwny zamierzonemu.

Naturalnie, skrócenie czasu pracy przy niezmniejszaniu zarobków, musi się dokonać kosztem — kapitału. Kapitał musi przeprowadzić nową kalkulację zysku, hamując nieco swoje apetyty. Zresztą, niewiadomo, czy ta zmieniona kalkulacja z chwilowem umniejszeniem zysku nie przyniesie za parę lat zysków zwiększonych: wzmożona liczba konsumentów wpłynie na wzrost produkcji. Niższy procent zysków przy większym obrocie dać może znakomicie podniesioną sumę dochodów.

K. Muszałówna

DYKTATURA WOJSKOWA CZY „KĄPIEL STALOWA"?

Chcę podsumować na gorąco wrażenia z mego pobytu w Berlinie w okresie wyborczym i poczynić kilka uwag na temat sytuacji, jaka się obecnie w Niemczech wytworzyła.

Z którejkolwiek strony podejdziemy do problemu Niemiec współczesnych, widzimy obraz przytłaczający i ponury.

Reakcja, która zdobyła władzę, usunęła demokrację niemiecką z głównych jej pozycji, przekreśliła jej znaczenie w społeczeństwie, a teraz przyszła kolej na wydalanie demokratów ze stanowisk w aparacie państwowym.

Były prezes parlamentu, socjalista Loebe, który ma na sumieniu skłonienie partji socjalnej demokracji do polityki „tolerowania" rządów Bruninga do spółki z Reichswehrą, został przez bieg wypadków przykładnie ukarany. Władze, podległe p. Papenowi, odmówiły mu prawa wygłoszenia przez radjo odczytu w rocznicę zwycięstwa rewolucji w listopadzie 1918 r. P. Loebe musiał się uciec do uprzejmości socjalistów holenderskich, którzy oddali mu do dyspozycji swe stacje nadawcze, musiał następnie przeprowadzić agitację śród towarzyszy partyjnych, aby odbierali to jego przemówienie.

Obraz niedołęstwa, osamotnienia i paraliżu woli w obozie demokracji niemieckiej poprostu prześladuje obserwującego rozwój wypadków niemieckich. Bieg tych wypadków zdaje się potwierdzać fatalistyczną teorję, przypisywaną gen. Schleicherowi, że trzeba najpierw osłabić demokrację umiarkowaną, aby wzmocnić skrajnie radykalną, a potem z kolei tę rozbić — i wszystko po drodze rozproszkowawszy, utrwalić w Niemczech ponownie regime wojskowy, przystosowany do odmiennych warunków. Regime wojskowy musi oprzeć się na żywiole społecznym. Czy będzie nim wielka własność ziemska, foeodalna lub uprzemysłowiona, czy będzie nim obóz wielkoprzemysłowy, czy wreszcie świat finansowy, to już tylko kwestja taktyki i zręcznego manewrowania. Można nawet głosić hasło państwa militarno-socjalnego, które uznaje konieczność pewnych dość radykalnie zabarwionych reform w rodzaju socjalizacji części produkcji, — a równocześnie zawarować w tem państwie wszystkie zasadnicze uprawnienia — wojsku. Jak się rzekło, kwestja nazwy formy rządzenia, którą p. Schleicher co pewien czas inaczej określa, jest w gruncie rzeczy obojętna.

Faktem jest, że reakcja prawicowa, jak zawsze zaślepiona, jak zawsze prowokująca, i jak zawsze w dziejach Niemiec pewna zwycięstwa, a przeto szukająca okazji do walki — że ta prawica ma w wojsku znakomitego sprzymierzeńca.

Czy p. Papen, osobiście nielubiany, ustąpi miejsca twórcy odrodzonej siły militarnej Niemiec powojennych, generałowi von Seecktowi, czy też wodzowi junkrów staro-pruskich, ministrowi von Gaylowi, czy też innemu politykowi tego pokroju, — zmiana taka będzie tylko — narazie wzmocnieniem pozycji skrajnej prawicy.

Im bardziej zaostrza się sytuacja Niemiec, tem mocniej prawica prze do starcia, do sprowokowania strony przeciwnej. Ponieważ socjalna demokracja, dla świętego spokoju, i zmęczona walkami lat dawnych, poszła na program ciągłych ustępstw, za cenę trzymania się u władzy, postanowiono ją zniszczyć, aby przestała odgrywać jakąkolwiek rolę w Niemczech. Nawet jako współrządząca stała się niedogodna. Teraz jest właśnie dobijana, maltretowana, niezdolna już w swem zakłamaniu wewnętrznem do odruchu walki.

Wszyscy konkurenci o zabarwieniu demokratycznem, socjaliści i mieszczanie, stoją poza nawiasem władzy. Czyż to nie czas najodpowiedniejszy, aby im na długo, a może — któż to wie? — na zawsze odciąć drogę do rządów?

Do tego właśnie wszystko w Niemczech zmierza, te tendencje ujawniły posunięcia obozu rządzącego w czasie obecnych wyborów. Kto je widział zbliska, ten musiał mieć wrażenie, że dygnitarze wojskowi Niemiec, mający zawsze pełne usta miłości narodu, prowokują celowo starcie gwałtowne, aby obezwładnić jedynego już groźnego w tej chwili konkurenta — partję komunistyczną.

***

Wewnętrzna sytuacja Niemiec jest obecnie dlatego tak tragiczna, że element rozsądku i umiaru, reprezentowany gdzieniegdzie przez wypróbowany obóz demokratyczno-republikański, został tu zniweczony.

Uzbrojona legalnie (i nielegalnie) prawica nie widzi niebezpieczeństwa, jakie grozi Niemcom na wypadek, gdyby próba łatwego zduszenia lewicy skrajnej nie poszła tak łatwo, jak to było z demokracją.

Folgowanie przez państwo w latach ostatnich dzikim wybrykom i szaleństwem kapitału, przy równoczesnem przerzucaniu na wyłączne niemal barki warstw pracujących wszystkich ciężarów kryzysu, podniosłe falę radykalizmu.

Von Papen, przedstawiciel ciężkiego przemysłu i wielkiej własności, sprawca dalszego pogorszenia doli bezrobotnych, uważany jest w tej chwili przez olbrzymie rzesze bezrobotnych, które bynajmniej nie hołdują wyłącznie komunizmowi, za stronę w walce socjalnej, a nie za instancję ponadpartyjną.

Masy widzą, że sfery posiadające dorwały się do władzy i przygotowują dalszy pochód reakcji społecznej. Stąd ta zaciekłość, stąd wzrost głosów partji komunistycznej, która, jak przed rokiem partja hitlerowska, staje się zbiornicą, gromadzącą wszystkie żywioły niezadowolone.

***

Pożałowania godne jest położenie mas demokratycznych, które mimo błędną taktykę przywódców. trwały z podziwu godną wytrwałością przy haśle republiki demokratycznej. One to dotychczas pokrywały wszystkie błędy przywódców wołając o hasło do walki z umundurowanymi wrogami republiki. Teraz, gdy dowództwo okazało się na podziw niedołężne, następuje najgroźniejszy moment w polityce wewnętrznej Niemiec. Lawina przesuwa się ze środka ku lewicy, robotnicy socjalistyczni, dotychczas wierni i posłuszni przywódcom, wyznawać zaczynają hasła skrajne.

Konserwatyści i reakcjoniści staropruscy, zwolennicy radykalnych metod działania, łudzą się, że zdo-

łają zakazem policyjnym wszystkie szalone trudności opanować.

***

Sędziwy feldmarszałek Hindenburg, który darzy zaufaniem najbliższą mu grupę polityków wojskowych, oddawna już marzy o rządzie koncentracji narodowej, t. zn. o rządzie jednoczącym wszystkie ugrupowania prawicowe i prawicowego centrum. W tej chwili ta koncepcja jest właśnie wałkowana, jako jedyne lekarstwo na bezrobocie, które już ogarnęło 6 miljonów ludzi, czyli każdego dziesiątego obywatela Niemiec. Koncentracja narodowa — to znaczy sojusz ciężkiego przemysłu z wielką własnością rolną, z Htilerem, który wnosi wiano w postaci zradykalizowanego mieszczaństwa pod nazwą partji „robotniczej", z finansami i właścicielami nieruchomości.

Ta koncentracja narodowa ma opracować program polityki pod hasłem: realizacji programu wojskowego, odwetu, reakcji społecznej, kulturalnej.

U dołu odbywa się wielki ruch, wielka przemiana, szukanie dróg. Na górze — frazes nacjonalistyczny, dobrze znany masom z czasów wojny.

Wszystko to zaczyna przypominać okres przedwojenny, z wyjątkiem jednego, że wtedy nie było troski o zarobek, o chleb...

Sprytni, systematyczni generałowie, którzy zdołali zorganizować wielką armję kondotjerów przemysłu, rewanżu i militaryzmu pod płaszczykiem odrodzenia, zdają się w dalszym ciągu nie rozumieć przemian, zachodzących w masach. Dla politykujących generałów sprawa uzbrojenia, sprawa dywersji dyplomatycznej jest wciąż zagadnieniem, któremu warto poświęcać wszystkie inne.

Generałowie są wciąż pewni zwycięstwa. Dlatego można odrazu wyczuć, że bynajmniej ich nie przeraża moment możliwego starcia między obozem prawicy ze zradykalizowanemi masami.

Co więcej, można zaobserwować w Berlinie, że jest pragnieniem niektórych kół, aby to starcie przyśpieszyć, skoro nie można w inny sposób odciągnąć wielomiljonowych mas do haseł radykalizmu społecznego.

W tej pewności siebie kół rządzącej prawicy i wojska, w chęci sprowokowania starcia, w którem ostatnie słowo będzie należało do Reichswehry, policji i „prywatnych oddziałów szturmowych" nietrudno jest dostrzec linję dalszego rozwoju wypadków w Niemczech.

Mówimy ciągle o wojnie domowej w Niemczech. Znawcom stosunków niemieckich wydaje się ona wprost nieuniknioną. Mówi się o niej, jak o przyszłej „kąpieli stalowej".

Prawicy niemieckiej marzy się przywrócenie monarchji, zduszenie wszelkich zdobyczy rewolucji 1918

Lewica skrajna znów marzy o rewolucji socjalnej.

Starcie pomiędzy temi dwiema wielkiemi siłami zbliża się. Tragedją Niemiec jest, że pozwoliły generałom i ich zausznikom cywilnym zniweczyć grupy środkowe

Zanarchizowanie mas jest skutkiem tej zbrodniczej polityki, chaos w umysłach — skutkiem tej taktyki, a przyszłość najczarniejsza — horoskopem, który tylko dla spiskowców wojskowych przedstawia zjawisko ponętne.

Generałowie Reichswehry i ich polityczni przyjaciele postawili wiele na kartę. Co będzie, jeśli przegrają? Co się stanie, jeśli odniosą zwycięstwo? W obu wypadkach — nic dobrego dla świata i jego wolności.

Mieczysław Wajnryb

ODGŁOSY

DOBRA DAWKA

Gdyby teatr miał to znaczenie wychowawcze, o które dziś tu i ówdzie walczy, sztuki takie, jak Zuckmayera „Kapitan z Koepenick" (grany obecnie w teatrze „Nowego Ateneum"), zastrzyknęłyby w organizm społeczny sporą dawkę zdrowego rozsądku, czyli dobrej trucizny na psychiczne insekty. Wytrułaby ta trucizna ponure głupstwa w mózgach ludzkich, zniszczyłaby różne tabu i fetysze.

Jedną z odwiecznych w tej mierze metod leczniczych jest śmiech satyry. „Szalona to strzała — mówił o tym śmiechu Wolter — nigdy nie wiadomo, co zabije w swoim biegu: czasem tradycję, czasem świątynię, a czasem tron"...

Teatr nie ma dziś tego znaczenia, o którem marzy. Publiczność, która coś przeżyła, albo i przemyślała podczas spektaklu, nie uważa tych przeżyć i przemyśleń za obowiązujące. Wraca z teatru i po drodze gubi różne najświeższe zdobycze moralne. Tak jest przeważnie. Wśród drobnej tylko części cos się zmienia, coś trwale ubywa lub przybywa w uczuciach i w myślach. I to coś warte. Owa drobna część promieniuje dalej swoją odmianą, szerzy dobre „zarazki". W postępie społecznym teatr jest czynnikiem pomocniczym, mniejszym lub większym, zależnie od wpływu, jaki potrafi wywrzeć na publiczność. i od tego, *jaka* publiczność *w jakim* znajduje się teatrze.

Żywioły mieszczańskie i burżuazyjne mają szczególną postawę: lubią, żeby z nich szydzono, oklaskują słowa najbardziej radykalne i... w niczem nie naruszają swoich przyzwyczajeń. Sztuki Shaw mają największe powodzenie wśród tych, których wyśmiewają. Tak w carskiej Rosji największe powodzenie w sferach biurokratycznych miała komedja Gogola „Rewizor". Sam car ją oklaskiwał. U nas, na sztukach Zapolskiej, która chłostała obłudę mieszczaństwa, ta właśnie sfera bawiła się najlepiej. Sprawiało jej pewną przyjemność to, że widzi siebie na scenie.

Wpływ satyry jest w teatrze wtedy najbardziej skuteczny, kiedy słucha jej publiczność, która z racji swego położenia społecznego, jest zasadniczo nieprzychylna lub wrogo usposobiona dla pojęć i rzeczy przez tę satyrę zwalczanych. Wówczas *ta* publiczność umacnia się w swej postawie ideowej, otrzymuje nowe argumenty i nową otuchę do walki. Dlatego też satyra społeczna o nucie radykalnej najbardziej jest owocna w teatrze, do którego uczęszczają warstwy ludowe. Jeżeli teatr „Nowe Ateneum" przyciągnie te warstwy, odegra rolę pozytywną. A właśnie przyciągnąć może przez wystawianie sztuk takich, jak „Kapitan z Koepenick", t. j. łączących walory teatralne, widowiskowe, z efektem ideologicznym.

Sztuka ta prześwietla jedną z wielu odmian fetyszyzmu, które tak ciężkiem brzemieniem obarczają psychikę zbiorową, walczy z kultem munduru. Sprawa kapitana z Koepenick nie przestała być aktualna, chociaż od czasu tej głośnej awantury minęło zgórą lat trzydzieści. Jest aktualna nietylko na gruncie niemieckim. Wystawiona doskonale i grana wyśmienicie, przyczynić się może do osłabienia tak jeszcze silnego przeżytku.

J. W.

JEDNO ZE ŹRÓDEŁ „PRZEDWIOŚNIA"

Zapewne wszyscy pamiętają burzę, jaką wywołało ukazanie się „Przedwiośnia" Żeromskiego. Ze wszystkich stron wystawiono katapulty, które z hukiem i trzaskiem, wyrzucały w jego stronę soczyste epitety.

Żeromski na ataki nie odpowiadał, lecz uśmiechając się, powiedział swym znajomym, że „Przedwiośnie" jest nie skończone i że ma zamiar napisać ciąg dalszy. Niestety, śmierć uniemożliwiła ten zamiar i zagadka „Przedwiośnia" dotychczas jest nierozwiązana.

Wokół Żeromskiego i jego dzieł, powstał szereg rozpraw. Niedawni wrogowie stali się apologetami swego wielkiego przeciwnika, któremu w hołdzie złożyli książki, prace i rozprawy. Autor słów niniejszych przeczytał kilka prac, traktujących o Żeromskim i w żadnej z nich nie znalazł najmniejszego śladu źródeł, z których Żeromski czerpał, pisząc „Przedwiośnie".

W listopadzie 1922 r. odbył się we Lwowie, proces komunistyczny, tak zwana „sprawa Święto - Jurska". Otóż Żeromski ze stenogramu tej sprawy, wydanego we Lwowie w 1923 r., przez stenografa A. Hołówkę, zaczerpnął spory fragment do „Przedwiośnia".

W „Przedwiośniu" (wyd. IV) na stronicy 351 znajduje się następujący fragment:

„Jestem z zawodu lekarką i, jako lekarka, poznałam zbliska i z własnego doświadczenia zgniliznę dzisiejszego świata. Przyszłam do przekonania, iż w dzisiejszym świecie panuje straszne zwyrodnienie. Klasa robotnicza zwyradnia się w nędzy i ciemnocie. Obecny ustrój kapitalistyczny prowadzi całą ludzkość do upadku. Tutaj, w tem mieście w Warszawie, 85 procent dzieci w wieku szkolnym ma początki suchot. Przeciętna długość życia robotnika wynosi 39 lat, przeciętna długość życia księdza 60 lat. W roku 1918 na 33.000 wypadków śmierci w Warszawie 25.000 było zmarłych na suchoty. Cała klasa robotnicza przeżarta jest nędzą i chorobami, życie, jakie na tej ziemi pędzi robotnik, ginący z nędzy ,powoduje zwyrodnienie, a używanie, nadmiar, przesyt, doprowadza również burżuazję do zwyrodnienia. Masy robotnicze pozbawione są kultury. Ich twórcze siły nie są wykorzystane. Poziom kulturalny burżuazji obniża się również. Pieniądz rządzi wszystkimi i wszystkiem".

W stenogramie A. Hołówki, na stronicy 39, w mowie oskarżonej, dr. Grosserowej, czytamy:

„Jestem z zawodu lekarzem i jako lekarz poznałam zbliska zgniliznę dzisiejszego świata. Przyszłam do przekonania, że panuje w teraźniejszem społeczeństwie straszne zwyrodnienie. Wyradza się fizycznie i moralnie, w nędzy i ciemnocie klasa robotnicza. Zwyrodniałą jest także burżuazja.

Obecny ustrój kapitalistyczny prowadzi całą ludzkość do upadku. Byłam lekarzem szkolnym w Warszawie. 85 procent dzieci ma początki suchot. Dziecko w wieku lat 8 — 10 przestaje chodzić. Czy możliwy jest rozwój społeczeństwa w takim stanie? Przeciętna długość życia robotnika wynosi 39 lat, księdza 60.

W r. 1918 na 33.000 wypadków śmierci w Warszawie zmarło 25.000 na suchoty.

Cała klasa robotnicza przeżarta jest chorobami i nędzą. Lecz to fizyczne zwyrodnienie nie oszczędza także klasy posiadającej. I to nie jest przypadek. Z jednej strony życie, które prowadzi robotnik, ginąc w nędzy, powoduje zwyrodnienie, a z drugiej strony, używanie, nadmiar, przesyt musi doprowadzić burżuazję także do zwyrodnienia. Jaki więc zapas energji ginie wśród klasy robotniczej? Ginie dlatego, że niema ona możności rozwoju. Cały dorobek ludzkości jest tylko iluzoryczny. Masy robotnicze pozbawione są kultury — ich siły twórcze nie są wykorzystane. Z drugiej strony poziom kulturalny burżuazji także się obniża. Pieniądz rządzi wszystkiem i wszystkim..."

Jeden to z licznych dokumentów życia, które wielki pisarz włączał do swych utworów. W studjach nad Żeromskim dokumenty takie winny być brane pod uwagę.

Mieczysław Stryk

REFLEKSJE

NIETYLKO ŻYRARDÓW

Uznaliśmy wszyscy, że w Żyrardowie działy się rzeczy straszliwe, że traktowanie ludzi było tam nikczemne, że nędza, głód i rozpacz nic nie obchodziły właścicieli żyrardowskich fabryk.

Tak było już szereg lat, o czem dowiedzieliśmy się dopiero po zabiciu Koehlera i po rozprawie sądowej. To nauka, że nie znamy naszej rzeczywistości społecznej. Tysiące ludzi może męczyć się i cierpieć niewymownie, dziać się mogą rzeczy wołające o pomstę do nieba, a społeczeństwo, a najszersze warstwy narodu nic o tem nie wiedzą. W ciszy grają się tragedje okropne, bez echa i bez oddźwięku w świadomości zbiorowej. Więc i bez reakcji czynnej.

A dobrze jest znać prawdę, dobrze jest wyraźnie widzieć obraz społecznego życia, przychodzą bowiem różne rzeczy nagle i niespodziewanie, to zaś, co w świecie tragedji społecznych jest nagłe i niespodziewane, zawsze jest ogromnie kosztowne... W całokształcie życia dużo bywa groźnych, a czasem i krwawych pozycji, które stąd się również rodzą, że o czemś nie wiedziano, że się czegoś nie widziało. W naszych czasach trzeba mieć dobry wzrok i wyostrzony słuch... Źle patrzy i źle słucha ten, komu się wydaje, że

to tylko w Żyrardowie działy się historje potworne. Czytaliśmy, że społeczeństwo zostało już uświadomione, że już teraz poznało zbrodnie wyzysku, terroru i znęcania się nad ludźmi. Nie, nie zostało uświadomione. Nie widzi całej prawdy. Żyrardowskie rewelacje wywołały tu i ówdzie opaczny i szkodliwy wniosek — jakoby „wrzód został rozcięty".

Bynajmniej. Ujrzeliśmy tylko jeden, jedyny odcinek wielkiego frontu rozpaczy. Skierowaliśmy wzrok na jedno tylko przedsiębiorstwo, na jedną miejscowość. Zło wyzysku nie skoncentrowało się w Żyrardowie. Żyrardów nie miał monopolu na podłość i nieludzkie obchodzenie się z najemnikami.

A co się dzieje w innych, wielu, wielu innych fabrykach? Jak jest w innych przedsiębiorstwach?

Żyrardów tem się różni od innych miejscowości, że tu się skupiła większa ilość pognębionych, że tedy tutaj obraz niedoli łatwiej daje się zobaczyć. Ale przecież wszędzie, wszędzie — rozsiane są grupy tak samo maltretowanych, a suma ich cierpień tysiąckroc jest większa, niż na terenie Żyrardowa.

W większości fabryk jest tak, jak w Żyrardowie: koszmar bezrobocia i nieustający lęk przed utratą pracy. I wyzyskiwanie tego lęku.

A w mniejszych przedsiębiorstwach? W warsztatach, w sklepach, w biurach?

Wszędzie duch Koehlera. Owego pana, owego władcy, który wie, że może wyrzucić człowieka na bruk, skazać go na poniewierkę. Wyniosły, dumny, panoszący się cham daje odczuć swoją władzę tem dotkliwiej, im cięższe jest położenie jego pracownika. Pracownika, który słucha i milczy, bo... Tu sto powodów. Dom, rodzina, dzieci... Kryzys... Długi... Widmo nędzy... Więc słucha i milczy, wypełniony goryczą i słuszną, głęboko słuszną nienawiścią.

Różne są Żyrardowy. Większe, mniejsze i całkiem maleńkie. Wszędzie tam, gdzie pracownik jest niewolnikiem i dba o dobry humor swego szefa, tam, gdzie pracownica musi się szefowi podobać, tam, gdzie człowiek kulturalny i światły drży ze strachu przed brutalem. I tam, gdzie się jednych niewolników podjudza przeciw drugim, żeby łatwiej było nimi rządzić.

Żyrardów jest większy, niż miejscowość o tej nazwie.

Trzeba wzrokiem śmiałym i uczciwym objąć cały obraz świata pracy, żeby wiedzieć, czem jest ten świat dzisiaj, a czem może i musi być w przyszłości.

Widz

„Epoka" jest posterunkiem ideowym, który służy najwznioślejszym hasłom naszych czasów.

UZARANIA CZŁOWIECZEŃSTWA

Już na początku naszego stulecia długotrwała dyskusja uczonych na temat pochodzenia rodu ludzkiego została zasadniczo wyjaśniona. Rozwój embryonu ludzkiego, przechodzącego w łonie matki wszystkie najważniejsze etapy rozwojowe człowieczego plemienia, zdumiewające pokrewieństwo krwi małp człekokształtnych z krwią człowieka, odkryta niedawno identyczność fauny bakteryjnej we wnętrznościach człowieka i małpy, doniosłe dowody natury paleontologicznej składają, się na jednakowo brzmiące świadectwo ścisłej łączności, zachodzącej między światem zwierzęcym a ludzkim. Oczywiście postęp nauki nigdy nie ustaje i dlatego również w dziedzinie ustalenia genealogji ludzkiej praca wre nadal. Praca ta grupuje się obecnie w głównej mierze koło problemu, jak odbywała się ta niezmiernie ciekawa ewolucja praojców ludzkich, jakie są wogóle przyczyny rozwoju w świecie organicznym. Pozatem skrzętnie gromadzi się materjał wykopaliskowy celem dokładnego ustalenia wszystkich etapów rozwoju i zestawienia drzewa genealogicznego świata ludzi, zwierząt i roślin.

Właśnie w dziedzinie badań prahistorji ludzkości, a właściwie już historji małpoluda mamy obecnie do zanotowania niezwykle doniosłe odkrycia. Lata ostatnie przyniosły nam bowiem bogaty plon pracy wykopaliskowej w Chinach. Tak zwany sinanthropus, czyli małpolud z Chin stanowi obecnie temat niesłychanie ciekawych dyskusyj uczonych. Dla lepszego wyjaśnienia doniosłości odkrycia nie od rzeczy będzie w krótkości naszkicować dzieje badań najstarszych pozostałości ludzkiego plemienia.

W pamiętnym roku 1856 po raz pierwszy uczeni dowiedzieli się o odkryciu czaszki, która pochodząc najwidoczniej od człowieka, odznaczała się kształtem i objętością, przypominającą czaszki współczesnych małp człekokształtnych. Niezwykła czaszka odkryta została w dolinie Neandertal niedaleko Düsseldorf'u w warstwie gliny dwumetrowej grubości. Niskie, cofnięte w tył czoło oraz olbrzymie wypukłości kostne ponad oczodołami nadawały tej czaszce wyraz dzikości i zwierzęcości.

Niektórzy uczeni zeszłego stulecia, jak naprzykład Rudolf Virchow, kwestjonowali archaiczność kości z Neandertalu, obecnie jednak nie ulega wątpliwości, że człowiek neandertalski żył kilkaset tysięcy lat temu, w pełni tak zwanej epoki lodowej, był współczesnym mamuta i niedźwiedzia jaskiniowego, a bytował na skraju olbrzymiego lodowca kontynentalnego, który kilometrowej grubości płaszczem okuwał większą część Europy. Wykopalisko neandertalskie nie pozostało odosobnione. Podobne czaszki praludzi odkryto w następnych dziesięcioleciach w pobliżu miejscowości Spy w Belgji, w jaskini kroackiej oraz w jaskiniach południowo-francuskich. Zgodzono się również na określenie tego okazu nazwą „homo", bowiem mimo, że kształt głowy *homo neandertalensis* znacznie odbiega od kształtu głowy człowieka współczesnego, ustalono, że rasę tę należy uważać za całkowicie już „ludzką", różniącą się wybitnie od żyjących obecnie małp człekokształtnych.

W roku 1891 odkryto na Jawie szczątki innej istoty, szczątki, nad których pochodzeniem do dnia dzisiejszego dyskusja nie jest zakończona. Odkrywca tych kości lekarz holenderski Eugen Dubois oraz znakomity paleontolog niemiecki, Ernst Haeckel, nazwali ową tajemniczą istotę *pitecanthropus*, czyli po polsku małpoludem. Faktycznie czaszka jawańska zajmuje wyglądem swoim mniejwięcej środkowe miejsce między współczesnemi małpami człekokształtnemi, a rasą neandertalską. Niestety szczątki pitecanthropa z Jawy znajdowały się w chwili odkrycia w stanie tak beznadziejnym, że nie mogły być uważane za przekonywujący dokument naukowy. To samo powiedzieć można o innem znalezisku, szczęce, odnalezionej w pobliżu Heidelbergu w Niemczech ,która dałaby się świetnie zamieścić w pośrodku między szczękami współczesnych ludzi, a szczękami małp człekokształtnych.

Uczeni starali się więc odkryć inny jakiś okaz pokrewny, ściślej mówiąc, podobny do hipotetycznego małpoluda jawańskiego. W latach 1912 i 1915 wykopano w Anglji wpobliżu miejscowości Piltdown resztki innego praczłowieka, którego nazwano Eoanthropus. Eoanthropus przedstawia prawdopodobnie jeszcze bardziej, aniżeli homo neandertalensis, pierwotny typ praczłowieka, stoi jednak na nieco wyższym poziomie rozwojowym, aniżeli pitecanthropus jawański.

Tym długo poszukiwanym niewątpliwym „współczesnym" — z dokładnością przynajmniej setki tysięcy lat! — tajemniczego pitecanthropa z Jawy jest właśnie odkryty w ostatnich latach *sinanthropus*, czyli według lepszego określenia *pitecanthropus pecinensis*. Doniosłość tego odkrycia podnosi fakt, że szczątki obecnie wydobyte z łona ziemi zakonserwowały się znacznie lepiej, aniżeli szczątki jawańskiego małpoluda oraz, że odkryto odrazu kilka szkieletów.

Sinanthropus przypomina w wielu szczegółach jawańskiego małpoluda. Z wyjątkiem jawańskiego okazu nie odkryto dotąd czaszki ludzkiej, ani czaszki istoty podobnej do ludzi, zaopatrzonej w tak typowo małpie wypukłości ponad oczodołami i odznaczającej się tak wybitnemi zwężeniami w skroniach, jak to ma miejsce u okazów, których czaszki ostatnio odkryto.

Pierwsze odkrycia pod Pekinem zostały dokonane w roku 1926, kiedy to szwedzki uczony dr. J. G. Anderson odkrył dwa zęby małpo - ludzkie razem z kośćmi zwierząt, pochodzących z wczesnej epoki lodowej, a może nawet z końca poprzedzającego tę epokę trzeciorzędu. Obecność zębów ludzkich w warstwach tak dawnej epoki geologicznej musiała oczywiście pobudzić uczonych do dalszych systematycznych poszukiwań. Kilku uczonych rozmaitych narodowości kontynuowało rozpoczęte prace wykopaliskowe. Chińczyk dr. C. Li, Szwed dr. Birger Boblin i kanadyjczyk dr. Davidson Black kierowali temi pracami. W roku następnym znaleziono jeszcze jeden ząb. Dalsze poszukiwania w roku 1927, 28 i 29 nie zostały zakończone sukcesem. Zdawało się już, że owe zęby będą jedynemi plonami kilkuletnich badań, kiedy w grudniu 1929 roku dr. Boblin odkrył całą szczękę dolną wraz z zębami, następnie części kilku szkieletów, a wreszcie czaszkę z częścią oczodołów. Latem 1930 r. cenne te znalezisika zupełnione zostały jeszcze jedną dobrze zachowaną czaszką.

Wreszcie, jakby na ostateczne potwierdzenie autentyczności pitecanthropa Dubois'a w końcu zeszłego roku odkryta została również na Jawie w odległości 30 kilometrów od miejsca znalezienia z przed 40 laty czaszka małpoluda, którego nazwano javanthropus.

Ostatnie te odkrycia przesunęły granice naszej znajomości drzewa genealogicznego ludzkości aż do końca ciepłej epoki Trzeciorzędu, a w każdym bądź razie do samego początku epoki lodowej. Bowiem wykopane tuż obok sinanthropowych piszczeli kości zwierzęce pochodzą od gatunków, żyjących w tej właśnie epoce. Najbardziej atoli sensacyjne rezultaty chińskich wykopalisk wypłynęły dopiero ostatnio na łamy naukowych czasopism. Okazuje się bowiem, że ten pod względem fizycznym bardzo do zwierząt podobny pekiński anthropus pozostawił ślady swej kultury, już wyraźnie udawadniającej jego potencjalne człowieczeństwo. Sinanthropus używał już kamiennych narzędzi i posługiwał się ogniem!

Bardzo interesująco przedstawia się historja tego odkrycia. W styczniu ubiegłego roku dostarczona została do paryskiego instytutu paleontologicznego czaszka jelenia bez wyjaśnienia, skąd pochodzi. Abbé Breuil, świetny paleontolog francuski oświadczył bez wahania, że czaszka ta uszkodzona została uderzeniami twardym przedmiotem, ewentualnie kamiennem narzędziem, oraz że widoczne są na niej wyraźne ślady spalenia. Również chemiczna analiza kości potwierdziła oddziaływanie ognia. Owa czaszka jelenia pochodziła z pekińskich wykopalisk!

Zachęceni tem odkryciem uczeni baczną zwracali uwagę na wszelkie ewentualne dowody „technicznych" umiejętności sinanthropa. Odkopano istne góry popiołu, świadczące, że sinanthropus celowo dla swego użytku podtrzymywał ogień, a pozatem odkryto również zbiory kamieni z wyraźnemi śladami obtłukiwania celem uzyskania ostrej krawędzi. Ale nie koniec na tem, przekonano się, że już przed miljonem lat małpolud pekiński organizował istny przemysł „wyrobów z kości"- Czaszki jelenie służyły mu jako puhary i przez częste używanie zostały miejscami jakby wypolerowane, części rogów pozostawiono, aby służyły do lepszego trzymania prymitywnych naczyń. Ostre i odpowiednio przyłamane zakończenie rogów były w użyciu jako sztylety. Młoty i pałki zastępowały kości goleniowe, a rozmaite drzazgi widocznie służyły rozmaitym celom, nie dającym się z całą pewnością określić.

Tak liczne i tak zadziwiające są dowody działalności intelektu pekińskiego małpoluda, że uczeni zastanawiali się mimowoli, czyżby sinanthropus nie był współczesnym europejskich neandertalczyków. Ale takie przypuszczenie nie daje się absolutnie pogodzić ani z cechami zwierzęcości w budowie czaszki sinanthropa, ani też z fauną wczesnej epoki dyluwjalnej, której szczątki znaleziono tuż obok kości małpoluda pekińskiego. Sinanthropus musiał żyć kilkaset tysięcy lat przed homo neandertalensis. Z faktu tego wynika jednak bardzo ważny i doniosły wniosek: już w epoce trzeciorzędu istniał małpolud. Wykopaliska pekińskie udawadniają bowiem, że sinanthropus przyswoił sobie już całkowicie cały szereg umiejętności technicznych i że miał już za sobą długi szereg tysiącleci trwającego rozwoju kultury.

Na zakończenie naszego szkicu wypadnie nam jeszcze dołączyć dwie uwagi celem uniknięcia nieporozumień. Mówiąc o sinanthropie jako o istocie, stojącej pośrodku między zwierzęciem a człowiekiem nie mamy oczywiście zamiaru twierdzić, że właśnie odkopane niedawno okazy przedstawiają naszych prapraojców. Bo przecież istnieje zasadniczo możliwość, że właśnie owa grupa sinanthropów należała do bocznego odgałęzienia drzewa genealogicznego i że jej potomkowie dawno już wymarli. Wspominając o podobieństwie czaszek pitecanthropów do czaszek współczesnych małp człowiekokształtnych nie mieliśmy też zamiaru te współczesne małpy uznać za naszych praojców; nasze pokrewieństwo z szympansem, gorylem i orangutangiem raczej daje się porównać z stosunkiem kuzynostwa. Mamy tylko wspólnych przodków, przyczem według wszelkiego prawdopodobieństwa najbliższym naszym krewnym jest szympans. Gałąź szympansów łączy się z drzewem genealogicznym człowieka prawdopodobnie już na końcu trzeciorzędu, czyli niebardzo powyżej omawianych przez nas pitecanthropów, a wspólny praojciec niewątpliwie miał mniej cech zwierzęcych, aniżeli współczesny szympans. Ktoś bardzo odważny i dowcipny mógłby więc nie bez słuszności wygłosić hipotezę pochodzenia szympansów od człowieka. Ale to jest raczej spór słów, mało istotny.

dr. F. Burdecki

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Ubiegły tydzień przeżywał świat pod znakiem wyborów niemieckich i amerykańskich.

Jak nie trudno było przewidzieć, „rząd prezydjalny" von Papena nie zdołał sobie zdobyć większości Reichstagu i ogółem na 582 mandaty posiada 49 posłów partji, która go popiera bez zastrzeżeń, t. j. deutsch - national. Pomimo to nie brak głosów, które twierdzą, że von Papen wyszedł z wyborów jako zwycięzca, bo hitlerowcy wraz z centrum już nie stanowią najbardziej dla niego niebezpiecznej czarno - brunatnej większości. Jest nawet w Polsce publicysta, p. Cat w „Słowie", który z tego powodu wypisuje hymny pochwalne na cześć „mądrego", rycerskiego von Papena.

Tam, gdzie nieco głębiej ujmuje się wypadki, choćby w „Le Temps'ie", lub nawet w brukowej wiedeńskiej „Die Stunde" „zwycięstwo von Papena" jest oceniane nieco inaczej. „Die Stunde" pisze, że Hitler zatrzymał się u bram Berlina, ale i von Papen tam wkroczyć w pełni nie może, partja komunistyczna jest trzecią, co do siły w Reichstagu: wybory — to tylko przygrywka do dalszych walk wewnętrznych. „Le Temps" jeszcze wyraźniej mówi, że „wojna domowa wisi poprostu w Niemczech w powietrzu".

Naturalnie ci, którzy wierzą w bagnety, modlą się do nich i uważają je za wszechpotężny środek, rozstrzygający wszystkie zagadnienia, liczą bagnety Reichswehry i Stahlhelmu i powiadają: oto Papen zwycięzca, bo wsparty na tej stalowej szczecinie może kpić sobie z wszelkich opozycyjnych większości.

Czy warto nawet przypominać entuzjastom bagnetu, że carat rosyjski miał 12 miljonów sztuk tego żelastwa i że zginął w odmęcie wojny domowej?

***

Warto zwrócić uwagę na wystąpienia premjera francuskiego p. Herriot'a.

Z okazji kongresu radykałów społecznych w Tuluzie p. Herriot wygłosił mowę, w której nie było normalnie przyjętych — frazesów o sojusznikach na wschodzie, natomiast zjawiły się rewerанse niespodziewane pod adresem Italji.

Zgodnie z tem w uchwałach stronnictwa p. Herriot'a powiedziano, że w swojej polityce zagranicznej Francja nie może liczyć się z ustrojem wewnętrznym państw, z którymi wchodzi w stosunki.

Komplementy p. Herriot'a dla Italji, przyznanie, że Włochy traktowano po zakończeniu wojny niesprawiedliwie, były niespodziewane.

Stało się to przecież nieomal nazajutrz po zaczepliwych mowach Mussolini'ego i niesłychanie drażniącej polemice francusko - włoskiej, w której padły z obu stron ciężkie słowa.

Admirał francuski, Docteur, ogłosił drukiem pamiętnik z czasów wielkiej wojny. W pamiętniku tym, jako jeden z dowódców eskadry francuskiej na morzu Śródziemnem, czyni Włochom zupełnie wyraźny zarzut, że nie chcieli bić się z Niemcami, a tylko z Austrją, że bali się niemieckich łodzi podwodnych i od nich poprostu uciekali. Gdy adm. Docteur zwrócił się do dowództwa krążownika włoskiego „Libja" z takim zarzutem, odpowiedziano mu bez ogródek: „Wy prowadzicie swoją wojną, a my prowadzimy swoją".

Ogłoszenie tych pamiętników w październiku 1932 wywołało w prasie włoskiej burzę niebywałą. Między innemi „Stampa" turyńska zamieściła artykuł p. t. „Włochy nie zapomną nigdy obelg francuskich". Artykuł kończył się tak: „Wszelka szlachetność ma granice; żaden Włoch godny swej ojczyzny nie zapomni o tem nigdy. Nigdy".

I oto parę tygodni po tej polemice p. Herriot żąda sprawiedliwego stosunku do Włoch.

***

W tym samym czasie wbrew poprzednim zaprzeczeniom rząd faszystowski po raz pierwszy ogłasza amnestję i reklamuje ją, jako najobszerniejszą od 70 lat. Z cyfr ogłoszonych widać, że wolność zwrócona będzie coś około 1000 antyfaszystom, nie świadczy to coprawda o rozmachu tej amnestji, ale jednak dowodzi, że Il Duce musiał zejść ze swego nieprzejednanego stanowiska.

Za jego przykładem i król Jugosławji Aleksander rozmawiał przy tworzeniu nowego gabinetu z leaderem opozycji również o amnestji.

I jedno i drugie, to fakty drobne, ale samo rozdymanie ich przez czynniki miarodajne obu krajów (Italji i Jugosławji) świadczy, jakie wiatry polityczne wieją na świecie.

Dlatego też sądzić należy, że wieści, które przeszły tym razem z Havany — stolicy Kuby —, iż prezydent tego kraju p. Machado zdołał tam przeprowadzić wybory w ten sposób, że blok rządowy zdobył 100% mandatów, należeć będą wkrótce do przeszłości.

Przykład Kuby nie będzie pomimo pozornej ponętności zachęcający.

Sł. Gr.

CZERWONE I NIEBIESKIE

II.

— Wszystko się wparło na wieś do Mielzackiego kupować chleb i kiełbasę dla tych, co mają iść. Taki tam krzyk, biją się chyba, czy co...

Ledwo wyszli na drogę, minęła ich pędem nieduża dziewczyna.

— Co tak lecisz, tee! — krzyknął na nią Bogumił.

Stanęli i obejrzeli się. Dziecko się z ojcem widać spotkało, bo nagle zaczęło zawodzić w ciemności:

— Tata, wy idziecie, a nie wicie, że was na wojnę wołają. Tata, mama mówi, że na zabicie was bierom, tataaa!...

— To będzie Zośka Łuczaków — poznał po głosie Olczak.

Dziecko głośno płakało, a gruby głos mówił do niego:

— Co ty córuchno powiadasz? Co ci nabajdurzyli? Co za wojna?

Bogumił oświetlił Łuczaka, zwanego przez ludzi „Śmietana", a gdy się z nim zrównali, wyjaśnił uspokajająco:

— Nie becz ty, mała. Taty nie biorą na wojnę. Przyszło z gminy wezwanie, ale tylko na czerwone bilety.

— Wezwanie? Z gminy? — pytał stropiony Łuczak. — A ja idę ze stajni i nic nie wiem. Mama w domu?

— Mama polecieli do sklepu kupować dla taty jadło na drogę.

— Dyć słyszysz, że mnie nie biorą. Za co mama poszła to jadło kupować? Jużci znów na borg nabierze...

Od czworaków nadszedł fornal Banasiak, ten którego posyłano zawsze po wuja Daniela, gdyż miał najspokojniejszą fornalkę.

— To wielmożny pan? Proszę pana, czy to może być prawda, że niebieskie bilety...

— Nie biorą, nie biorą — śpieszył go upewnić Bogumił. — Tylko czerwone bilety mają się stawić w Kalińcu.

— Lo Boga — rzekł nagle Łuczak. — To pewnikiem Klimecczak pójdzie!

Andrzej, syn Klimeckiego, zadawał się z jego najstraszą córką Stachą i miał się z nią żenić, o co Łuczakom bardzo szło, bo tę Stachę tak już oplotkowali po wsi, że ciężko ją było wydać.

— Toć jak pójdzie, tak wróci — rzekł Olczak. — I na wojnie śmierć nie każdemu się trafia.

Ale Łuczakowi nie tak o śmierć szło, jak o ten czas, przez który Stacha znów im się z kim gotowa zaszargać. Aż niewiadomo skąd im się taka niepowstrzymana wzięła, że musieli za nią oczyma przed światem świecić.

W izbie u Łuczaków młodsze dzieci rzuciły się do ojca. Łuczak był w rodzinie prawie za matkę. Miał żonę grubą i nieruchawą, która mu dzieci narodziła bez liku, ale niańczyć to on je niańczył, po nocach do nich wstawał i dzieci na niego, nie na matkę, wołały jak im czego było potrzeba.

Bogumił i Olczak stali na drodze i patrzyli ku wsi włościańskiej w miejsce, gdzie widać było światło i słychać hałas.

— To koło sklepu Mielzackiego — odgadywał rządca — ale o co oni się tak drą?

— Tam, gdzie krzyczą, tam i moja być musi — osądził wychodząc z izby Łuczak, gdyż znał swoją babę jako niesporą w robocie, ale krewką do kłótni.

Wieś ciągnęła się wzdłuż drogi tuż za zagonkami dworskich ludzi. Łuczak przykazał dzieciom cicho siedzieć, a sam poszedł z panem i rządcą bruzdami ku Staremu Serbinowu. Zmrożone badyle, pożółkłe resztki chwastów i obmokłe gnijące nacie kartoflane wyskakiwały przed nimi na światło latarki i ginęły. Wbrew przewidywaniom Łuczaka spotkali jego brzuchatą żonę po drodze. Wracała czemś obładowana i szła pospołu z Klimecką. Coś do siebie bolejącemi głosami gadały całkiem zgodnie, co wprawiło w podziw i Bogumiła i rządcę, gdyż wiedzieli, że te dwie matki patrzeć na siebie ne mogły. Od czasu, jak ich dzieci, Jędrek i Stacha, zeszli się z sobą, nie było dnia, żeby się wzajem nie nawyzywały od ostatnich, a bywało, że się i biły. Stara Klimecka zaprzysięgała się, że nie da się żenić synowi z dziewuchą, co już od kiedy i nie z jednym swoją cnotę traciła, a Łuczaczka odgrażała się, że Jędrkowi ślepia wrzątkiem wyparzy, jeżeliby miał Stachę porzucić i do ołtarza z nią nie iść.

Teraz jednak, zastraszone tą samą niedolą, zapomniały o swoich porachunkach i już zdaleka słychać było jak razem utyskiwały:

— Wasz się chociaż już nażył — biadała Klimecka — a mój synek jak ten kwiat na to ścięcie...

— A dzieci? Przecie u mnie drobne dzieci ostanom się bez ojca. O wy rany pana Jezusa naszego, o mój Boże, mój Boże!

— Gdzie się włóczysz? — napadł swoją kobietę Łuczak. — Kolacjom byś lepiej uwarzyła, dzieci pokładła. Adyś ja nie idę na wojnę! Nie mogłaś to poczekać aż wielmożny pan dadzą znać?

— Waluś, lo Boga! Nie idziesz? To wielmożny pan tutaj stoi? Prawdę on gada, proszę pana, że nie idzie? O chwała Bogu najwyższemu na niebie!

— Tymczasem jeszcze nie idzie — potwierdził Niechcic.

— O Matko, to może i Jędrusia nie biorą? — ucieszyła się Klimecka.

— Jędrka biorą. Macie tu dla niego wezwanie — rzekł Bogumił, sprawdzając przy latarce papiery. Łuczaczka nagle krzyknęła popędliwie:

— To nacożem ja tyle wszystkiego nakupiła! Nacożem się tak natraciła! Jeszcze żem się, mój Boże, z drugiemi za łby darła, żeby lo ciebie nie zbrakło.

— Chto ci winien, żeś taka nieupamiętana. A na święta za co tera co kupisz?

— Jak to pan Bóg nad drugimi ma zmiłowanie, a nas tym czerwonym biletem pokarał — lamentowała Klimecka. — Kaj ten Jędrek się zadział! — krzyknęła. — Nie może to się z matką ostatni wieczór nacieszyć? Jędrek!! Już go musi gdzieś w krzach ta cholera Stacha zdybała!

— Nie pyskujcie, nie wyzywacie od choler, bo go moi Stasi żałujecie, a tam go w Japoniel...

Bogumił i Olczak zostawili te głosy oddalające się w mrok, a sami poszli ku wsi, potykając się w bruzdach. Kiedy mijali zarośla nad rowem, usłyszeli rozmowę, jakby krzaki po nocy skarżyły się na coś, wzdychały i szeptały:

— ...Jędruś, toć ty o mnie zabaczysz na wojnie — zaszlochał głos kobiecy.

— Ty siebie pilnuj — odparł męski. — Mało to już na ciebie ludzie...

Z drugiej strony wietrzna ciemność śpiewała niepewnym, napróżno starającym się utrzymać melodję krzykiem:

Jest tam wojna wydana, hu, ha, ha!
od samego cesarza hu...
Mom ja córki, mom ja dwie...

— Monopolka odchodzi — zauważył Niechcic. — Zawsze jej hultaje skądś zadobędą.

Z przed chałupy, gdzie znajdował się sklepik Mielzackiego, ludzie rozchodzili się w różne strony po kilkoro. W słabem świetle z okienka przy budzie ujadał pies, tańcząc i miotając się dookoła łańcucha. Przez otwarte drzwi słychać było jak wewnątrz baby użerają się jeszcze z sobą, czy też ze sklepikarzem.

Bogumił potknął się o rozbitą butelkę.

— Psia krew — mruknął — ten też zawsze ma wódkę.

Wódkę wolno było sprzedawać tylko w specjalnych sklepach monopolowych, ale mimo to nigdy jej we wsi nie brakło.

Weszli do środka. Niechcic zobaczył jeszcze paru ze swoich dworskich ludzi. Zaczęto się na niego oglądać i na mgnienie przycichło, ale gwar wnet się podniósł na nowo, jakby ludzie, poddani wyższej niż folwarczna konieczności, nie dbali w tej godzinie o powszechnią służbistość. Bogumił wdał się z tym i z owym w rozmowę. Cały gwałt wyniknął ze strachu, że w sklepie wszystkiego zabraknie. Rodziny zapasowych rzuciły się takim szturmem na kiełbasę, miejskie bułki i machorkę, jakby los wojenny ich ojców, mężów i braci zależał wyłącznie od zaopatrzenia ich w jadło i palenie na drogę. Dwórki wiedziały już jednak od włościan, że niebieskie bilety nie idą i rwetes, wszczęty przez nie, znacznie osłabł. Kobiety skupiły się koło Niechcica i Olczaka, skarżąc się pytająco, że co dziś jednym, to jutro drugim, i że tych, co dzisiaj nie wzięci, może to jeszcze nie minie? Jedna z dwu starszych Klimecczanek, które były obie za dwoma Kałużnymi, obcierała niepotrzebne już łzy i mówiła:

— Jabym i tak mojego nie dała na wojnę. A żeby się tak wszyscy ze wszystkich wsiów zmówili i nie poszli, to coby im kto powiedział. Całego narodu by do kryminału nie wzięli, bo ktoby robił w polu?

—Jak to się... jak to się mądrzysz — przygadywał jej mąż.

Druga Kałużna nie zdawała się tak zanadto kontenta, że jej chłop ocalał od branki. Spoglądała ukradkiem ku panu Olczakowi, który zrobił się niewyraźny na twarzy. Ludzie w czworakach mówili, że ci dwoje mieli ze sobą porozumienie.

Bogumił, zoczywszy obu Kałużnych, podobnych do siebie, jasnowłosych fornali o mało rozgarniętych twarzach i mocno teraz maślanych oczach, kazał im wracać do stajni, bo tam zdaje się został tylko Klimecki i w tym zamęcie złodzieje gotowi znów, jak niegdyś, konie po nocy wyprowadzić.

— Pośpią się — rzekł zatroskany, gdy wyszli — tak, że ich i na sąd ostateczny nikt nie dobudzi. Bo widzę, że nietrzeźwi.

Sklep opróżnił się, został tylko na ławce pod ścianą stary Kolański, ojciec małego Tomka, codzienny tu o tej porze bywalec.

Bogumił, rozglądnąwszy się po pustych półkach i zalanej piwem podłodze, pogadał jeszcze z Mielzackim. Był to rumiany, krągły na twarzy, pogodny człowiek, o małych niebieskich oczkach. Uważał się za coś lepszego od innych, dobrze mu się wiodło i był stale zadowolony z życia. Zawsze coś sobie pośpiewywał, i tak to miał w zwyczaju, że nawet w kościele, jak się podczas kazania zasłuchał i zagapił, ludzie go musieli trącać, żeby pod nosem nie mruczał jakiej śpiewki. Stał teraz za lada i grzebał w szufladzie z pieniędzmi, a obok słaniała się jego mizerna żona, sprzątając okrawki wędliny i butelki po piwie.

— Piwo piwem — rzekł Niechcic podejrzliwie — ale i wódki się ludzie nażłopali, bo widzę, że się pijani po wsi włóczą. Wszyscy jak w ukropie, jeszcze z tego będzie jakie nieszczęście. Jeśliście mieli wódkę w domu, to trzeba było nie dawać.

— A czy to ja tu dziś rządzę? — ubolewał Mielzacki. — Pozbadli mnie tak, że ani się obejrzałem, jak mi sklep z towaru wymietli. Wódki miałem trochę dla siebie na przypadek choroby, to weszli do mieszkania i wzięli. Ja sie ani połowy dochodu z tego co rozdrapali nie doliczę. To jest ewentualnie rabunek, a nie handel.

Narzekał, ale widać było, że jest rad z tego najścia i że się spodziewa niezgorzej wyjść na swoje.

— I czego ludzie tak potracili głowy! — dziwił sie — Czy to nie wiedzieli, że są w zapasie? I że jest wojna Rosiei z Japonieją? To kto ma iść na wojnę jak nie ludzie.

— Ba — rzekł Niechcic — rozum powiada swoje, a serce chce żyć, chce się weselić.

Mielzacki mógł sobie zresztą tak mówić, gdyż miał same córki i był wolny od wojska. I jak bywa z ludźmi w podobnych okolicznościach, nagle przejął się i wzruszył na myśl o chwale wojennej.

— A o tę chwałę, o tę bohaterską zasługę — popisywał się słowami, których ponauczał się był w mieście, gdy terminował u rzeźnika — to się nie warto starać? Taki, co z wojny przyjdzie, jak zacznie opowiadać, każdy go słucha, każdy uważa, a on prawi jak to szli do ataku, jak generały sołdatom dziękują, medale przypinają, muzyka gra. Niech

stary Kolan powie, czy na wojnie źle mają? szak on był na tureckiej, krzyż dostał i jeszcze za niego do dziś trzy ruble z cesarskiej kasy odbiera.

I Mielzacki zakrzątnął się z milczącą żoną koło butelek, nucąc już po swojemu:

— ...n-n-n-y, wydana, hu, ha ha!
mmm-nn-hu!...

Stary Kolan ani drgnął, jakby słowa sklepikarza nie do niego się wcale zwracały. Zdawał się drzemać z rękami na grubej lasce domowej roboty. Dopiero po chwili obrócił ku ladzie suchą ciemną twarz, zarośniętą jakgdyby siwem ścierniem. Długo kręcił przecząco głową, wreszcie zaskrzypiał:

— Rozmaicie tam ludzie będą mieli. Raz będą mieli wszystkiego dość, raz będą mieli głód i zimno. Śmierć tam na nich tyż już wygląda... o-o-o — zaśpiewał — wygląda! Ale toć i doma bez wojny biedy się dość najedzą, a jak się popiją, mało to się niejeden raz nakaleczą, a bywa że i który z którego duszę nożem wywlecze.

— Człowiek się może dać i zabić — odezwał się Olczak, — ale musi wiedzieć, że tak powiem, za co ginie. A na Japończyków, za co my mamy nastawać? Czy go kto tu kiedy widział na oczy?

Bogumił oddał resztę wezwań Olczakowi, który zaraz poszedł napowrót ku czworakom, żeby je ludziom doręczyć, a sam wracał do domu wsią. Natknął się jeszcze po drodze na dwa — trzy cienie śród cieniów i jego latarka oświeciła czyjeś zataczające się buty. Wieś nie spała. Przy furtkach stały tu i owdzie gromadki ludzi, rozprawiając leniwie lub gorączkowo. Milkli na jego widok i patrzyli kto idzie. Koło stawu latarka mu zgasła i musiał zwolnić kroku nim się oswoił z ciemnością. Razem z latarką zgasło jakby mnóstwo lat jego życia i w pamięci wskrzesła dawno w niej pogrzebana godzina. Ujrzał jak w podobną zimową noc matka ładuje mu do torby ciepłą bieliznę, a ojciec upycha w swoje sakwy chleb, kiełbasę i rum, na drogę do powstania. „Psy zamknąć w budzie — mówi przytem — bo jak poczują strzelby, to za nami polecą".

Usiłował przytrzymać to wspomnienie, znaleźć związek czy różnicę między niem, a tem, co się działo dzisiejszego wieczora, chciał wysnuć z tego jakieś wnioski. Lecz wspomnienie przepadło, gdyż musiał uważać na drogę, wciąż mu ginącą w mroku. Patrzył z wytężeniem, gdzie się zaczyna bladawa powierzchnia stawu, i orjentował się podług wierzb, które szumiały i skrzypiały na wietrzu. Od wycia tego wiatru i skrzeku drzew zrobiło mu się nieraźno. Wydało mu się, że nazawsze utracił czemś tak od jakiegoś czasu spotęgowane wesele życia. I nie wtedy, kiedy stał we wsi otoczony pozlękanymi ludźmi, a teraz dopiero uczuł w sobie ich troskę, jakby to jego samego wiedli pospołu z zapasowymi na wojnę. Słyszał dokoła siebie te wtóre skłócone niewiadomej natury podźwięki, które brzmią w szumie wiatru, ale jakby do wiatru nie należą, niesione tylko przezeń skądciś, chyba z samego piekła. Wydały mu się muzyką, pod którą wiodą go na wojnę w chwackich szeregach. Ale muzyką straszną, niby stękanie złego losu co rzuca ludzi na ludzi, raz o to, raz o tamto, i każe im się nieszczęsnym kłopotać o jedno tylko, na co mogą poradzić — żeby jadło było na drogę. Na drogę chwały, czy klęski, czy niesławy, czy śmierci.

Marja Dąbrowska

REALIZM W BELETRYSTYCE WSPÓŁCZESNEJ

Widzialne dla każdego przeobrażenia ustrojowe polityczno - gospodarcze i społeczne łączą się z mniej dla ogółu widocznemi głębokiemi przemianami *psychicznemi.* A to zjawisko odbijać się musi dobitnie nie wszelkich rodzajach twórczości — przedewszystkiem na sztuce i literaturze. Ponieważ żyjemy w okresie tworzącej się nowej ery w dziejach świata, rzecz jasna, że wszelkie przemiany życia są w stanie *fermentu,* którego wykładnikiem w dzisiejszej rzeczywistości jest *chaos pojęć,* zarówno w sferze zjawisk ekonomicznych, jak i kulturalnych. Pod znakiem chaosu rodzi się i współczesna literatura. To tłumaczy fakt, że nie widzimy w niej obecnie żadnego dominującego prądu ideowego, żadnej magistralnej linji, któraby nadawała *charakter określający* współczesnej twórczości literackiej. Pesymiści, zestawiając jej stan obecny z poprzedniemi okresami, które miały ów określający charakter, mówią o jej upadku. Jest to ludzki objaw niecierpliwości; natura nasza nie lubi stanu niepewności i szuka za wszelką cenę definicji, łudząc się, że to jej ułatwi znoszenie okresu przejściowego. Chce jaknajszybszego końca wszelkiego prowizorjum i w tem dążeniu nie troszczy się zgoła o trafność definicji. Byle to się jakoś wreszcie nazywało.

Przejściowy okres, w jakim niewątpliwie znajduje się, obok innych dziedzin działalności ludzkiej, i twórczość literacka, nie pozwala z fermentu i chaosu wyłowić jakiejś zasadniczej charakterystycznej *tendencji.* Mówić o niej dzisiaj byłoby to pisać na wodzie, łowić cienie i przedstawiać je, jako żywe postaci.

Rezygnując z doszukiwania się dominującej tendencji w literaturze dzisiejszej, możemy natomiast odnaleźć w niej co innego: pewien typowy rys charakterystyczny, powszechny dla wszelkich rodzajów literatury pięknej — zarówno dla epiki, jak dla liryki i dramatu. Tym rysem kapitalnym jest *realizm.*

W ramach niniejszego artykułu ograniczę się do obserwacyj w dziedzinie prozy epickiej — mówić więc będę o realizmie w *beletrystyce powojennej.*

W tej gałęzi twórczości pisarskiej łatwo zaobserwować, w ostatniem zwłaszcza dziesięcioleciu, znamienne zjawisko: *rozpływania się granic* rodzaju literackiego, który tradycyjnie przywykliśmy nazywać powieściopisarstwem (łącząc w tem pojęciu powieść i nowelę).

Ten *liberalizm* bierze swój początek, mojem zdaniem, w beletrystyce, wyrosłej z przeżyć wojennych, reprezentujących siłą rzeczy pierwiastek subjektywno - pamiętnikarski. Literatura t. zw. „wojenna", wprowadzając na rynek przeważnie debjutantów, uczestników czteroletniej rzezi światowej, wprowadziła wraz z nimi kronikarski typ powieści i opowiadania, a raczej *przywróciła* go z nową treścią literaturze, gdyż jest on, jako forma pisarska, tak stary, jak „Żywoty świętych".

U nas, gdzie czytelnictwo przedstawia się w sposób, przynoszący wstyd postawie kulturalnej 30-miljonowego narodu, trudno mówić o roli tej literatury

w produkcji wydawniczej; natomiast w krajach, gdzie istnieje potrzeba książki, nazwiska Barbusse'a, Dorgeles'a, Kessla, Remarque'a, Arnolda Zweiga, Renna, Hemingway'a skupiły na sobie uwagę i ciekawość miljonów czytelników.

Wszystkie owe „wojenne" książki cechuje realizm. Pamiętnikarstwo wojenne odegrało doniosłą rolę jeszcze na innem polu, nie moralno - społecznem, lecz czysto literackiem. Podsyciło ono, rozwinęło i stabilizowało w literaturze współczesnej *biograficzny typ powieści.*

Powinowactwo tego typu z kronikarską powieścią wojenną jest oczywiste, w tendencji do przedstawienia życiorysów realistycznych, w formie epickiej, na podstawie dokumentów o życiu znakomitych poetów, wodzów, mężów stanu. W Polsce „Słowacki" Wołoszynowskiego, w pewnym stopniu „Byron" Tretiaka reprezentuje ten typ „biographie romancée", który zagranicą ma swych czołowych przedstawicieli w Andrzeju Maurois (Francja) Strachey'u (Anglja), Emilu Ludwig'u (Niemcy).

Realistyczny kierunek współczesnej twórczości zaznaczył się również w zmianie charakteru literatury podróżniczej. Dawny typ romansu awanturniczego na tle egzotycznem wprawdzie żyje i nawet prosperuje (u nas w osobach Ossendowskiego i Marczyńskiego); jednak prawdziwym dzisiejszym typem jest *nie romans, lecz reportaż podróżniczy.* Czytelnikami jego są ludzie„ którzy nie szukają w książkach Podróżniczych wyłącznie przyjemnego zabicia czasu, w wędrówce imaginacyjnej, lecz chcą połączyć przyjemne z pożytecznem, powiększyć zasób swych wiadomości o dniu dzisiejszym, o aktualnych zagadnieniach wagi wszechświatowej.

Reportaże takich autorów, jak Knickerbocker, Kisch, Londres, a u nas Słonimski („Podróż do Rosji sowieckiej"), stają się najbardziej fascynującą literaturą dnia.

Powodzenie takich prac stwierdza wagę, jaką ma dziś dla lepszej sfery czytelników *element użytkowy* książki.

Nawet tam, gdzie założenie utworu pozwala na wybryki najbujniejszej fantazji — w powieści sensacyjno - kryminalnej — kanonem dzisiejszym jest realizm opisu, związany z postulatem życiowego prawdopodobieństwa sytuacji. To samo stosuje się nawet do powieści fantastyczno - utopistycznej. Nagół dziś niechętnie czytana, będzie tolerowana tylko pod warunkiem, że oprze fabułę na rozwiniętym do bajkowych rozmiarów postępie technicznym — a to, oczywiście, pociąga za sobą ścisły realizm akcji.

Rozwój techniki i sportu niewątpliwie przyczynił się do upadku w powieści współczesnej symbolizmu, „wampiryzmu" i romantyki erotycznej. Kult zdrowia fizycznego i normalnego rozwoju sił psychicznych jednostki usuwa na skład rupieci literaturę „niesamowitą", operująca tematami z dziedziny okultyzmu, wiedzy tajemnej i psychopatologji. Modni przed wojną autorzy, Meyrinck, Evers, u nas Grabiński, dziś już nie znajdą w szerszych kołach czytelniczych zwolenników.

Romantyzm erotyczny pokutuje jeszcze w produkcji beletrystycznej podrzędnego gatunku, przeznaczonej dla odbiorczyń niewybrednych i niewrażliwych na żadne głosy ducha czasów, — lecz w powieści o wyższej wartości coraz mniejszą gra rolę. Nawet w wybitnie erotycznych utworach dzisiejszej doby odzywa się raczej krańcowy realizm.

Romantyzm w powieści dzisiejszej przeniósł się się z erotyki w zupełnie inną dziedzinę. Mylne byłoby mniemanie, że jako wyraz pewnego nastawienia uczuciowego przeżył się. Jest to tak potężny motor działania w życiu, że w żadnej epoce nie może mu grozić zagłada, bo jest nieśmiertelną potrzebą pewnego typu duchowego, który zawsze istniał, istnieje i istnieć będzie. Romantyzm tak pojmowany nie przeżywa się, ulega tylko modyfikacji pod wpływem przeobrażeń strukturalnych samego życia. Dziś objawia się on w nowej postaci, w walce nowoczesnej z przyrodą oraz w dążeniach do rozwiązania współczesnych problemów społecznych w duchu uniwersalistycznym, t. j. odnajdywania i propagowania wspólnych całej ludzkości potrzeb współżycia i współdziałania. Jednem z najważniejszych w tej dziedzinie zagadnień, narzuconych przez ocknięcie się z bezwładu olbrzymich ludów kolorowych, jest sprawa współżycia ras. W tych dwóch kierunkach: zwyciężania przyrody i budowania międzyludzkiej solidarności w ulepszaniu życia, idzie romantyzm dzisiejszy — ze względu na swą treść znowu wymagający formy realistycznej.

Jeśli spojrzymy na dzisiejszą powieść obyczajową i psychologiczną, skonstatujemy tendencję mocnego trzymania się spraw życia codziennego; bujanie po obłokach i w tym rodzaju twórczości literackiej przeżyło się i dyskredytuje dziś autora w oczach czytelników, bez względu na ich poziom intelektualny. Nawet roztrząsanie zagadnień metafizycznych (istnienia Boga, nieśmiertelności duszy, życia pozagrobowego), przemówi do wrażliwości dzisiejszej tylko wtedy, gdy jest mocno związane z wydarzeniami życia powszedniego.

Mimo wszelkie pozory, które każą raczej widzieć coś przeciwnego, mimo świadomego lub nieświadomego zakłamywania się w życiu zbiorowem, człowiek dzisiejszy dąży do poznania prawdy w daleko większym stopniu. niż pokolenia dawniejsze. I tu może odegrała rolę otrzeźwiającą wojna, ujawniając straszliwą prawdę namiętności i instynktów pierwotnych człowieka.

Powieść historyczna, która żyła w każdym kraju konwenansem antyrealistycznym, stroniąc od prawdy historycznej na rzecz legendy, przekazywanej z pokolenia w pokolenie, bez rewizji — wskutek swego charakteru tradycyjnego skostniała dziś i nie zanosi się na to, by ruszyła z martwego punktu, w jakim ją rutyna postawiła. Pozostanie jako t. zw. powieść dla młodzieży (i to narzucana jej, jako lektura, nie pożądana); dla dorosłych wypra ją ostatecznie pamiętniki-dokumenty, pisane nie ad usum Delphini.

Słowem, można stwierdzić, że czytelnik dzisiejszy, bez względu na pociąg do tego lub owego rodzaju beletrystyki, szuka w książce realizmu życiowego we wszelkich dziedzinach działalności ludzkiej. I jest to zjawisko psychologiczne całkiem zrozumiałe, gdy zważymy, że *cechą określającą,* nadającą barwę zasadniczą współczesności, jest witalizm, kult żywotności, ruchu i energji, potęgowany życiową koniecznością wytrwałej, nieustępliwej walki konkurencyjnej o prawo do istnienia, do pracy, w epoce kryzysu.

Na inercję nie pozwala nikomu instynkt samozachowawczy — zjawisko biologiczne, najrealniejsze pod słońcem.

Wacław Rogowicz

LISTY DO „EPOKI"

Proszę Pana bardzo, Panie Redaktorze, o umieszczenie mego listu. Niechaj Sz. Pan Redaktor nie traktuje go jako próby początkującego pisarza, — nie jestem nim i zapewne nigdy nie będę. Obojętne zresztą — kim jestem i kim będę, — w każdem bowiem środowisku i przy każdym warsztacie pracy spotyka, lub lada dzień spotkać może każdego Żyda ten sam ból, to samo rozczarowanie jakiego ja niedawno doznałem, — ja, student - Żyd jednego z fakultetów Uniwersytetu Warszawskiego.

Przed kilkoma dniami, gdy, bezbronny, szedłem ulicami Warszawy w towarzystwie kobiety, — zrzucono mi czapkę akademicką w błoto i spoliczkowano haniebnie, — za nic, a raczej za to, że jestem Żydem. Mam już lat około trzydzieści, — pierwszy jednak raz tego pamiętnego wieczora poczułem, że jestem Żydem, Żydem nienawidzącym Polaków i polskości, zwierzęciem, które się chce mścić. Zaraz potem zagłuszyłem w sobie to brzydkie, niegodne człowieka uczucie, — ciągle jednak żyję od tej chwili pod grozą strachu, iż to uczucie powróci, — podświadomie zaś dopomaga temu moje głębokie przeświadczenie, żem ja temu uczuciu nic a nic nie winien, że mnie sprowokowano, że cał wina leży na stronie tych, co bili, — na stronie mych kolegów-Polaków.

Znam wielu Żydów, których rodzice chowali podobnie jak moi mnie, — w duchu polskości. Nie umiem ani po hebrajsku, ani po żydowsku, — przesiąknięty byłem do tej pory gorącym patrjotyzmem (w 1920 roku jako młody chłopak biłem się na froncie, — jako ochotnik) i gdyby nie moje mojżeszowe wyznanie, mój brzydki semicki nos i kędzierzawa czupryna,—to niczem, ale to niczem nie różniłbym się od innych, ofiarnych i dobrych obywateli Rzeczypospolitej Polskiej. W szkołach byłem lubiany przez kolegów i profesorów, — w wojsku także nie napotkałem na szczególnie przykre traktowanie, — ot, śmieli się ze mnie, że wody się boję, że muszę być tchórz, jak wszyscy Żydzi, ale ja wiedziałem przecież, że są to zwykłe koleżeńskie żarty.

Wskutek tego wszystkiego nie zajmowałem się dotychczas sprawami wzajemnej niechęci i wzajemnej krzywdy, jaką sobie rzekomo Polacy i Żydzi mają wyrządzać. Słyszałem o tych historjach, ale nie obchodziły mnie one, — czułem się Polakiem, miłośnikiem polskiej literatury, polskiej historji, polskiej kultury. Miałem i mam jeszcze wielu **„Wielkich Przyjaciół"** śród Polaków, których kocham serdecznie, — Żeromski, Mickiewicz, Wyspiański... nawet Skarga, nawet... ale cóż gadać! — tej miłości chyba nikt mi nie odbierze!...

Dopiero od wstąpienia na wyższą uczelnię zaczęło sie dla mnie życie pełne przykrości. Doświadczałem ich sam na sobie i byłem częstym świadkiem takich przykrości, wyrządzanych przez studentów-Polaków innym Żydom. Kilkakrotnie starałem się pośredniczyć w bardziej osobistych między kolegami zatargach. Stwierdziłem wówczas ze smutkiem, że młodzi koledzy-Polacy nie są winni, iż winne jest starsze pokolenie Polaków, a właściwie pewna ich a potężna grupa, która antysemityzm wprowadza w ramy wychowania domowego, która „Bij Żyda!" wypisuje na sztandarze rzekomej polskości. Ilekroć rozmawiałem z żydożerczymi studentami, zawsze powoływali się oni na zdania pewnych polityków, publicystów i t. d. ze starszego pokolenia. ludzi poważnych, ich zdaniem, dobrych patrjotów, dobrych chrześcijan...

Jabym się wolał nie uczyć, nie wstępować na uniwersytet, — niż doświadczać teraz tego przykrego, najokropniejszego dla mnie uczucia strachu przed znienawidzeniem tego, co ukochałem jako moje własne, — Polaków i Polski. Tłomaczę sobie na różne sposoby, iż ot, banda fanatyków, ślepe narzędzie w ręku paru niecnych ludzi nie powinna swymi wybrykami podcinać mych ideałów, że powinienem swych kolegów, którzy mnie znieważyli, uważać za ludzi pijanych, chorych, niepoczytalnych. Jednak świadomość, iż Państwo Polskie wybryki te toleruje, iż pozwala bezkarnie na łamach „narodowej" prasy judzić i podburzać nierozumną młodzież do pastwienia się nad innymi obywatelami, — świadomość tego udaremnia wszystkie me wysiłki, by krzywdę jaką doznałem zbagatelizować.

Zabrońcie Żydom uczyć się. Trzymajcie ich w ciemnocie. Powiedzcie otwarcie, iż uważacie ich za element wyższy niż wy sami, za element pracowitszy, zdolniejszy, — a zatem niebezpieczny. Ja osobiście nie uważam Żydów ani za zdolniejszych, ani za pracowitszych od Polaków, — skoro jednak każecie studentom z wyższych uczelni bić Żydów-kolegów, — to chyba ze strachu przed ich domniemaną wyższością umysłową. Jakże inaczej tłomaczyć sobie można podobne zjawisko?...

Nie bronię Żydów. Być może, iż słusznie winicie ich o niejedną krzywdę, jaką wam wyrządzili. Policzcie jednak ilu z tych Żydów wyście sami sprowokowali do nienawiści, do zemsty. Ja tych Żydów rozumiem. Ja byłem sprowokowany.

Warszawa. S. S.

Z LISTÓW DO „EPOKI"

Pan St. K. w Krakowie: ...„przeto widzę, że „Epoka" jest kryptosanacyjna, a ja takich pism nie znoszę"...

Pan L. M. w Łodzi: ...„nie trzymam w domu pism o tendencjach bolszewickich"...

Pani H. W. w Rzeszowie: ...„przekonałam się, że „Epoka" walczy z naszym rządem"...

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Leonowi B. we Lwowie. Słusznie, ale szkoda, że źle napisane.

Pani Irenie M. w Zakopanem. Dziękujemy za życzenia.

Panu sędziemu K. w Gnieźnie. Dziękujemy za zwrócenie uwagi. Do sprawy tej powrócimy.

Panu M. Z. w Sosnowcu. Książka Janusza Meissnera p. t. „Żwirko i Wigura". Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.

Pani Zofji W. w Przemyślu. Ileż to rzeczy uważano za „utopijne", a jednak...

Panu Zbigniewowi N. w Warszawie. Nie możemy „wyjaśniać" naszym czytelnikom rzeczy tak prostych i żadnych wątpliwości nie budzących.

Panu M. N. w Łodzi. Właśnie o to chodzi: o połączenie wysokiego poziomu z przystępnością. Niema spraw czy zagadnień tak zawikłanych, o których nie możnaby pisać w sposób jasny i przejrzysty.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.650

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2763 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.